

WIADOMOŚCI Z PRASY

Szanowni Państwo,

Od pewnego czasu toczy się w Gazecie Wyborczej dyskusja dotycząca finansowania nauki. Zachęcamy do lektury

artykułów, które przedrukowujemy w naszym piśmie. Otwieramy tamy Asklepiosa na Państwa uwagi i komentarze.

„MAMY PRZEPIS NA FINANSOWANIE NAUKI”

Prof. Maciej Żylicz, 2012-10-31 Gazeta Wyborcza (www.wyborcza.pl)

Finansujmy tylko najbardziej kreatywnych naukowców. Tych, którzy jednocześnie potrafią być przywódcami. Nie stać nas na sponsorowanie wszystkich, zaufajmy tym najlepszym - pisze dla "Gazety" prezes Fundacji na rzecz Nauki Polskiej

Niedawny sukces polskich uczonych - dr Justyny Olko i dr. hab. Andrzeja Dziembowskiego - w konkursie Europejskiej Rady Nauki (ERC) miał posmak słodko-gorzki. Cieszymy się z tych osiągnięć, ale rozczarowuje nas ich "samotność". Do Polski trafią bowiem w tym roku tylko dwa z 536 rozdanych grantów.

starej unijnej piętnastki wydaje się średnio przeszło 150 euro, a w krajach skandynawskich - powyżej 300 euro. Mimo to uważam, że w kwestii finansowej w ostatnich latach wiele się w Polsce zmieniło, przede wszystkim dzięki sporym funduszom z UE. Można oczywiście zapytać, czy te pieniądze są wydawane efektywnie, skoro po kilku latach inwestowania ich w polską naukę nasze sukcesy w konkursach europejskich to raczej pojedyncze przypadki.

Utopie, pieniądze i efekty

Jeśli chcemy, by polska nauka naprawdę miała szansę w konkurencji z najlepszymi, musimy stawić czoła dotychczasowym niepowodzeniom. Zastanówmy się, jak ją wspierać, byśmy dostawali z Unii Europejskiej więcej grantów na badania.

Nie chodzi mi wcale o licytowanie się na punkty impactowe, liczbę publikacji czy poziom cytowań. Jak 14 września 2012 r. pisał w "Gazecie" w swoim tekście "Czas wrócić do rozsądku!" prof. Andrzej Kajetan Wróblewski, były rektor UW, celem nauki jest poszukiwanie prawdy o otaczającym nas świecie, odkrywanie nowych rzeczy i próba wykorzystania tej wiedzy w celu usprawnienia i ułatwienia funkcjonowania człowieka na Ziemi. Uważam jednak, że idea uczonego samotnika (lub analogicznie funkcjonujących zespołów badawczych) prowadzącego swoje badania w oderwaniu od świata zewnętrznego, bez wiedzy o tym, co i w jaki sposób badają inni uczeni na świecie, i bez konfrontacji z ich osiągnięciami, jest dziś utopią. Rewolucja teleinformatyczna zmieniła i wciąż zmienia model uprawiania nauki. Współczesny badacz musi współpracować, ale i konkurować z uczonymi z całego świata. Przez wiele lat wszelkie niepowodzenia polskiej nauki mogliśmy tłumaczyć jej niedofinansowaniem. Była to łatwa wymówka, ale też niezaprzeczalny fakt. Nie twierdzę, że znajdujemy się dzisiaj w zupełnie innej sytuacji. Choć w 2004 r. na badania i rozwój przeznaczaliśmy z budżetu państwa 17 euro w przeliczeniu na jednego mieszkańca, a w 2010 r. było to już 30 euro plus drugie tyle ze środków europejskich, to w krajach

Oni zasługują na wsparcie

Fundacja na rzecz Nauki Polskiej zdobyła do tej pory z funduszy europejskich ponad 400 mln zł na realizację programów wspierających uczonych w Polsce. Naszym zdaniem mimo ogromnego zapotrzebowania na budowę nowej infrastruktury i aparatury badawczej kluczową kwestią w polskiej nauce pozostaje jednak likwidacja barier strukturalnych i instytucjonalnych hamujących jej rozwój oraz bezpośrednie inwestycje w najlepsze zespoły. Dlatego w ramach projektów finansowanych z programu operacyjnego "Innowacyjna gospodarka" wspieramy nowe zespoły badawcze, w których młodzi naukowcy mogą rozwijać skrzydła, pracując pod kierownictwem wybitnych uczonych z Polski i zagranicy. Zachęcamy też młodych badaczy pracujących za granicą do kontynuowania kariery w Polsce, wspieramy potencjalnie komercyjne projekty studentów i doktorantów i tworzenie w Polsce międzynarodowych szkół doktoranckich. Pomagamy także kobietom w ciąży pracującym naukowo i uczonym mającym małe dzieci. Dzięki tym funduszom przez cztery lata wsparliśmy 311 projektów, w których pracuje prawie 1,7 tys. uczonych, w tym 187 stażystów po doktoracie i 142 badaczy z zagranicy. Polska nauka nadal potrzebuje pieniędzy z funduszy europejskich. Jeśli jednak chcemy, by były one czymś więcej niż sposobem na odciążenie polskiego budżetu w czasach kryzysu i przyniosły długofalowe efekty, musimy je inwestować tam, gdzie mogą coś zmienić. Ten potencjał odnajdziemy w grupie wybitnych uczonych i ich zespołów. Są to ludzie, których celem nie jest utrzymanie

bezpiecznych posad, ale uprawianie nauki, która przekracza granice poznania. Aby nauka w Polsce nie miała znamion naśladownictwa, powinniśmy wspierać właśnie ich - by byli jeszcze lepsi. Spośród wszystkich finansowanych przez fundację projektów najlepiej funkcjonują te, których liderem jest niezależny, otwarty na współpracę i zdeterminowany na sukces badacz, umiejący budować zespół, dzielić się wiedzą i motywować swoich podopiecznych. O ile więc na razie Polska inwestuje głównie w infrastrukturę naukową, o tyle już niedługo powinna się skupić na tworzeniu nowatorskich agend badawczych, w ramach których najlepsze zespoły powinny ze sobą współpracować. Najbliższy wieloletni budżet UE to prawdopodobnie ostatnia już szansa na duży transfer pieniędzy wspólnotowych do Polski. Musimy zatem podchodzić do tych środków z jeszcze większą rozwagą. Traktować je jako długofalową inwestycję, z której zwrot powinien być paliwem napędzającym rozwój kraju przez następne dziesięciolecia. Nie stać nas na sfinansowanie wszystkich celów rozwojowych.

Mit nauki nieużytecznej

Wybranych uczonym i ich zespołom należy zaufać. Powinniśmy pozwolić im na inwestycje w projekty odważne, przełomowe, innowacyjne, interdyscyplinarne. Poszukujące odpowiedzi na pytania spoza sfery "popularnych" tematów naukowych i takie, których realizacja wymaga podjęcia sporego ryzyka, ale ich rezultaty mogą okazać się przełomowe. Dzięki temu przynajmniej części polskich ośrodków naukowych będzie mogła podjąć współpracę, ale także rywalizację z najlepszymi za granicą.

Chciałbym jednak przestrzec przed kultywowaniem mitu nauki "użytecznej" i "nieużytecznej", pod którymi to pojęciami rozumie się tzw. badania stosowane i badania podstawowe. Mógłbym przytoczyć wiele przykładów świadczących o tym, iż podział ten jest już anachroniczny i że to nauki podstawowe są obecnie głównym źródłem skokowych zmian technologicznych (to dzięki twórcom podstaw fizyki mogę dzisiaj pisać ten tekst na komputerze czy korzystać z telefonu komórkowego). Każde wartościowe odkrycie naukowe w końcu zostanie zastosowane. Tylko czasami brakuje nam wyobraźni, aby w danym momencie przewidzieć jego skutki.

Jednym z priorytetów następnej perspektywy finansowej UE jest zwiększenie nakładów na badania i rozwój z budżetów

„BAUMGARTNER ALBO PORTIERNIA, CZYLI COMING-OUT W TEMACIE FINANSOWANIA NAUKI W POLSCE”

Dr n. prawnych Arkadiusz Radwan, 2012-11-28, Gazeta Wyborcza (www.wyborcza.pl)

Szef Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej prof. Maciej Żylicz naraził mnie ostatnio na kłopoty małżeńskie. Napisał bowiem w "Gazecie Wyborczej", że finansują najbardziej kreatywnych naukowców, którzy jednocześnie potrafią być przywódcami. "No to przecież ciebie finansują" - stwierdziła moja Iza, zmuszając mnie do rzęsistych tłumaczeń, dlaczego tych pieniędzy nie przynoszę do domu. Ale po kolei.

przedsiębiorstw. Nie osiągniemy tego, bazując jedynie na firmach krajowych. Największym wyzwaniem będzie zatem przyciągnięcie i zakotwiczenie w naszym kraju ośrodków badawczo-rozwojowych największych światowych firm. Dzisiaj Polska jest potentatem w tworzeniu centrów usługowych, a w 2020 r. powinna być potentatem w tworzeniu centrów badawczo-rozwojowych.

Wiele firm europejskich wydaje obecnie na badania więcej niż Polska ze środków publicznych. Aby przyciągnąć je i ich fundusze, konieczne jest znaczące zwiększenie rozpoznawalności polskiej nauki na świecie. A to z kolei może nastąpić poprzez podniesienie jakości badań, a nie tylko ich wąsko pojmowanej "użyteczności". Potrzebne jest także otwarcie naszych uczelni, instytutów naukowych oraz stworzonych przy udziale funduszy strukturalnych parków naukowych na potrzeby firm.

Równo było kiedyś

Z drugiej strony nie oczekujemy cudów. Zwiększone nakłady budżetowe na naukę i dodatkowe środki z funduszy europejskich ich nie dokonają. Różnica w poziomie dostępnych środków na badania i rozwój między Polską a krajami Europy Zachodniej długo jeszcze będzie znacząca.

Poza tym problemem polskiej nauki jest nie tylko jej niedofinansowanie. Wciąż borykamy się z mentalną i strukturalną spuścizną czasów Polski resortowej, w której najważniejsze było, by wszyscy mieli po równo, a konkurencyjność i naukowa ambicja rzadko znajdowały poważanie.

Dlatego uważam, że fundusze z kolejnej transzy pomocy europejskiej powinny być w znacznej części zarezerwowane dla wąskiej grupy uczonych, ponadprzeciętnie kreatywnych i naukowo wybitnych, umiejących przełamać stare nawyki oraz stosować najlepsze, uznane na świecie praktyki w swojej pracy naukowej.

Uważnie wybierajmy tych, których chcemy wspierać, i miejmy odwagę im zaufać.

Cały tekst:

http://wyborcza.pl/1,75476,12770416,Mam_przepis_na_finansowanie_polskiej_nauki.html#ixzz2GLHk8vQf

Jestem prawnikiem. Wywodzę się z Uniwersytetu Jagiellońskiego, choć sam siebie postrzegam raczej jako produkt edukacji patchworkowej. Miałem to wielkie szczęście i determinację - żeby szczęściu pomóc - trafić na dłuższy lub krótszy czas do kilku przyzwoitych ośrodków uniwersyteckich w Europie Zachodniej i USA. Jena, Bonn, Kolonia, Kopenhaga, Florencja, Gandawa, Nowy York, Hamburg - z małymi przerwami łącznie prawie 10 lat akademickiego nomadyzmu.

Takie doświadczenie hartuje, ale jednocześnie rozpieszcza - pozwala przyzwyczaić się do pewnych standardów i pewnej kultury pracy, które z czasem zaczyna się uważać za oczywiste. To nie ułatwia repatriacji. W końcu jednak przyszedł na nią czas.

Inwestycje polskie

Energia jest najbardziej płynnym aktywem w przyrodzie. Do czasu mojego powrotu wymieniałem ją po korzystnym kursie na kolejne stopnie naukowego wtajemniczenia (nie mylić ze stopniami naukowymi w rozumieniu ustawy z dnia 14 marca 2003 r. o stopniach naukowych i tytule naukowym oraz o stopniach i tytule w zakresie sztuki, Dz.U. Nr 65, poz. 595, ze zm.). Satysfakcja przyszła demoralizująco szybko - staże naukowe w wiodących ośrodkach po obu stronach oceanu, zaproszenia na prestiżowe konferencje, uczestnictwo w międzynarodowych grupach eksperckich. Nie mam złudzeń, że częścią mojej przepustki do niektórych spośród tych zaszczytów był polski paszport - niekiedy obsada dokonywana była według klucza narodowej dywersyfikacji. Nie odbierało mi to jednak satysfakcji z bycia - często jedynym - przedstawicielem Europy Środkowo-Wschodniej wśród wiodących nazwisk mojej dyscypliny na świecie.

Punkty zwrotne? Pamiętam kilka. Na przykład ten, kiedy po przeprowadzeniu poważnych badań prawnoporównawczych ogłosiłem w Polsce serię artykułów dotyczących nowej wówczas u nas instytucji prawnej. Publikacje weszły do obiegu, choć - przynajmniej jeśli chodzi o krajowy establishment naukowy - bardziej na zasadzie formalnej konkordancji, aniżeli rzeczowej infiltracji. To nieco gorzkie doświadczenie, w połączeniu z wybaczną jeszcze chyba u niespełna wówczas trzydziestolatka niecierpliwością, doprowadziło mnie do sformułowania na własny użytek takiej oto tezy: dalsza inwestycja w jakość ma - owszem - głęboki sens, ale w połączeniu z planowaniem kariery zagranicą; w perspektywie zaś kariery w Polsce jawi się jako inwestycja o nikłej stopie zwrotu. Ponieważ zachciało mi się wrócić do Polski, część energii (a z czasem nie tylko energii) zainwestowałem alternatywnie. W co? W budowanie przyczółku akademickiej normalności, zamiastki tego, czego było mi dane doświadczyć w Niemczech, Belgii czy USA. Tak powstało Centrum C-Law.org, a jakiś czas później narodził się Instytut Allerhanda. Bez żadnych publicznych pieniędzy, raczej jako garażowy start-up naukowy. Polska to jednak nie Ameryka, więc garażowym etosem nie ma sensu specjalnie epatować. Dziś robię wyłom - te moje słowa, cały ten tekst, to taki mój coming-out.

Z pamiętnika pozytywisty

Migawki z pamiętnika pozytywisty? Zacznijmy może od tej: ponad sześćdziesiąt pudeł bezdomnych książek, które przypląły za mną z Nowego Jorku plus kilka jeszcze pudeł książek niemieckich. "Biznesplan"? Uplasować je w jakimś ogólnodostępnym miejscu, do którego będą mogli przychodzić doktoranci, studenci, wszyscy zainteresowani - w miejscu mogącym być jednocześnie pierwszym adresem naukowego

instytutu. Genialnie prosty plan na akademickie partnerstwo publiczno-prywatne? W lokalnych uwarunkowaniach niestety niekoniecznie... Realty check: nie zainteresował się nikt: ani władze miasta, ani województwa, ani żadna uczelnia czy to publiczna czy prywatna, ba - przez dłuższy czas paktowałem nawet z gminą wyznaniową żydowską, a i nie zaniechałem zwrócenia się do kurii biskupiej. Ostatecznie pierwszym adresem instytutu zostało... moje mieszkanie. Akurat w tamtym czasie zakupiłem nieruchomości na tzw. potrzeby własne, ale po krótkiej acz intensywnej refleksji, te ostatnie okazały się być nie aż tak znowu palące. Tak więc zamiast mnie, do mieszkania wprowadził się instytut. Na szczęście piętro wyżej było coś do wynajęcia. Zostaliśmy więc z instytutem sąsiadami. Tak było przez niemal 2,5 roku.

Miał być coming-out? No to jest.

Co się wydarzyło od tamtej pory? Biorąc miarę czasu, jaki upłynął - chyba całkiem sporo. Mierząc ilością pieniędzy, jakie były do naszej dyspozycji - więcej, niż ktokolwiek mógłby oczekiwać. Osoby z prawniczego środowiska naukowego pewnie wiedzą, o czym mówię - mnóstwo naukowych seminariów, goście z światowej czołówki, sporo publikacji, zbudowanie międzynarodowego networku, jakiego nie ma bodaj żadna inna prawnicza jednostka w kraju. Nie ma sensu tu o tym pisać - kto nie wie, może sam sprawdzić na www.allerhand.pl www.c-law.org. Wolę opowiedzieć trochę o tym, czego nie można było wyczytać w gazetach, ani dowiedzieć się ze strony internetowej, ani na spotkaniach odbywających się przy okazji naukowych seminariów. Kilka historii słodko-gorzkich. Pierwsza: doroczny, prestiżowy konkurs Europejskiej Fundacji Nauki, organizowany dla wszystkich nauk społecznych. Montujemy międzynarodowe konsorcjum, przygotowujemy wniosek, składamy dokumenty - jednocześnie do Warszawy (weryfikacja formalna) i Strasburga (ewaluacja merytoryczna). Za nami setki godzin pracy, przed nami wyczekiwanie. Informacja zwrotna przychodzi szybko. Z Warszawy, z Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego: "nie spełniacie kryterium formalnego". Jakiego? Zdaniem resortu nie jesteśmy "jednostką naukową w rozumieniu ustawy". Moment, coś tu chyba nie gra, skoro jesteśmy liderem międzynarodowego konsorcjum obejmującego duże państwowe uniwersytety z Czech, Węgier i Rumunii?! Na szczęście jesteśmy też prawnikami - przez noc przygotowujemy opinię prawną, dowodzącą, że owszem i oczywiście jesteśmy (!) "jednostką naukową" w rozumieniu stosownej ustawy. Pomogło, zostajemy dopuszczeni do bardzo skrupulatnego etapu merytorycznego (Strasburg). Przechodzimy poczwórny, międzynarodowy peer-review, wymianę poglądów, obronę przedstawionych założeń etc. Ostateczne wyniki: znajdujemy się wśród 49 najlepszych projektów z najsilniejszych uniwersytetów z całej Europy, nasz final score to "very good" (pełna dokumentacja do wglądu), finansowanie dostaje jednak tylko 7 projektów ocenionych jako "excellent". Jakiś czas potem dowiaduję się, że nasz wniosek był jedynym pochodzącym z Polski (!) - nasz wniosek, napisany w instytucie-garażu, instytucie, któremu polskie Ministerstwo zgodnie z naszą urzędniczą logiką próbowało rzucać kłody pod nogi.

W tradycji polskiej szarży ułańskiej

Inna historia: przetarg Parlamentu Europejskiego na ekspertyzy z dziedziny prawa spółek i corporate governance. Tworzymy międzynarodowe konsorcjum, które tym razem obejmuje m.in. Czeską Akademię Nauk. Na czele nasz garażowy instytut z Krakowa. Do Brukseli wysyłamy 18 kg dokumentów. Konkurujemy z aliansami zachodnioeuropejskich uniwersytetów i firm doradczych z tzw. "wielkiej czwórki". Rozstrzygnięcie: zostajemy wybrani do grona ekspertów Parlamentu Europejskiego na okres następnych czterech lat! Obok nas na tej liście są jeszcze 4 inne międzynarodowe konsorcja wybrane spośród 17 aplikujących. Sukces. Moralny, bo jeszcze nie finansowy. Niedługo potem wśród tej piątki rozgrywany jest konkurs na opracowanie założeń reformy corporate governance w Europie. Pamiętam jak dziś - wiadomość o wynikach zastała mnie w Jerozolimie. Wygrana! Radość i inspirująca wizja: Polacy będą projektować agendę reformy corporate governance w Europie, jednego z nerwów współczesnej gospodarki, ważnego elementu wszelkich analiz lokalnych i globalnych kryzysów finansowych. Prestiż i możliwość realnego wpływu na sprawy europejskie. Ogromny sukces. Sukces, który niebawem okazał się być skazanym na uduszenie się w garażu.

Dlaczego? Dla opisanego naszych egzystencjalnych trosk postugiwałem się często ukutą przez siebie metaforą człowieka z plecakiem uciekającego przed tygrysem. W plecaku jest pistolet, którym człowiek może zastrzelić tygrysa, ale - aby go wydobyć - musi się zatrzymać. A wtedy tygrys go pożre. "Tygrys" to bieżące rachunki, pensje dla pracowników, podstawowe materiały biurowe, troska o dach nad głową. "Pistolet" to wygrane zlecenie z PE. "Czas na wyjęcie pistoletu" to komfort, którego niestety w naszej rzeczywistości permanentnie brak. Wyłumaczę prościej: jeśli trzeba równolegle pracować zarobkowo, aby finansować garażowy instytut, jeśli z powodów tzw. życiowych, po przeszło dwóch latach, zdarza się musieć eksmitować ten instytut z mieszkania na czas jakiegoś donikąd, jeśli - z bytowej konieczności - wszystkie te działania odbywają się w sposób wpisujący się w tradycję polskiej jazdy ułańskiej, nie można uniknąć dyskomfortu spotkania z czołgiem pozagarażowej rzeczywistości.

Z notatnika obserwatora lokalnych obyczajów akademickich

Współczesna rzeczywistość polskiego badacza to z jednej strony silna międzynarodowa konkurencja, z drugiej zaś - nazwijmy to - osobliwa krajowa obyczajowość naukowa. Umiejętność niedostrzegania tej pierwszej jest stosunkowo rozpowszechnioną w Polsce sztuką. Ta druga zaś tworzy specyficzny lokalny pejzaż akademicki. Tu mała ilustracja do tego ostatniego: pewnego razu, wspólnie z pewną uczelnią uchodzącą w Polsce za renomowaną, zorganizowaliśmy dużą, międzynarodową konferencję naukową: bite dwa dni obrad, przez większość czasu w sesjach równoległych - największe bodaj w historii Polski wydarzenie poświęcone tytułowej dla konferencji dziedzinie. Sukces! - a ten, jak wiadomo, ma wielu ojców. W ramach ustalania ojcostwa wyrzucono z tej uczelni

mojego serdecznego kolegę, który w swojej osobie łączył zaangażowanie w instytucie z pracą na uczelni, i który był *spiritus movens* rzeczonyj konferencji. Refleksja osobista: gdybym ja był rektorem uczelni o której mowa, bardzo intensywnie bym się zastanawiał, jak najlepiej wykorzystać niezwykłą energię i talenty tego człowieka i na jakie stanowisko go awansować, aby rozwinął skrzydła - z pożytkiem dla uczelni. Tak zrobiłby każdy dbający o rozwój władarz zachodniego uniwersytetu. Niestety, nie jestem rektorem tej ani żadnej innej uczelni - jestem tylko skromnym adwokatem. Mogłem więc jedynie podjąć kroki prawne wobec rażąco bezprawnego zwolnienia. Zresztą kroki skuteczne. Ale to marne pocieszenie, bo happy end jednej historii nie uzdrawia uwarunkowań, w których się ona zrodziła i rozegrała. Takich historii, niestety, jest wiele. Proszę, oto kolejna: przypadek znanego mi osobiście akademickiego aktywisty, który swoją niebywałą energią mógłby obdzielić całą wydział innej renomowanej uczelni, a który również okazał się dla tej uczelni zbyt nieszablony. Dziś ów kolega realizuje się poza prądowymi murami tejże uczelni, z większą stratą dla tej ostatniej, niż niego samego. Zawsze podobało mi się motto FNP - "wspierać najlepszych, aby mogli stać się jeszcze lepsi". Pozostaje ono w wymownym kontraście do niepisanego hasła polskiej nauki - "frustrować sfrustrowanych, aby mogli stać się jeszcze bardziej sfrustrowani".

Duch, gmach i piach

Dlaczego w niezależnym instytucie, wolnym od uczelnianej biurokracji też jest trudno? Uprawianie nauki to przede wszystkim produkcja dobra publicznego, a dobro publiczne - z definicji - nie ma rynku, na którym można by je sprzedawać. Drugi problem to dywersyfikacja: taki Oxford może, siłą swoich wydziałów i departamentów, produkować jednocześnie kilkanaście dużych wniosków grantowych. Nawet jeśli 3/4 przepadnie, pozostanie jeszcze 1/4. Nieduży instytut może na serio pracować jednocześnie nad jednym, może dwoma wnioskami. Jeśli się nie udaje, powstaje problem z płynnością. Oczywiście można robić odpłatne konferencje. Od jakiegoś czasu zresztą je robimy, ponoć całkiem dobre. Ale nie o to przecież, przede wszystkim, chodziło.

Pytam więc, gdzie dziś mieszka duch, który kiedyś doprowadził do założenia pomnikowych instytucji nauki polskiej, jak chociażby Akademii Umiejętności? Gdzie bije puls, który ożywia gmachy tych szacownych instytucji? Pomocna w udzieleniu odpowiedzi byłaby ankieta przeprowadzona na reprezentatywnej grupie polskich naukowców i studentów, którzy mieli sposobność odbycia zagranicznych kwereń, stypendiów i staży. Przykład najlepszych ośrodków amerykańskich czy zachodnioeuropejskich pokazuje, że ich siła wynika z multicytryczności oraz zdolności przyciągania najbardziej kreatywnych indywidualności. W Polsce wielu spośród tych najbardziej aktywnych i twórczych naukowców albo decyduje się na czasową bądź trwałą emigrację, albo też zaczyna prace organiczną poza zastanymi strukturami i instytucjami. Dlaczego tak się dzieje i do czego to prowadzi? Czy reformatorzy polskiej nauki mają pomysły, jak tradycję i infrastrukturę odziedziczoną po minionych wiekach potoczyć z

talentem i energią współczesnych? Czy tylko ja mam wrażenie, że te same idee, które stanowiły zaranie wspomnianych szacownych instytucji, dziś reinkarnują się poza ich murami? Świeżość, nieskrępowanie i krytycyzm są wpisane w samo jądro nauki. Jak zmierzyć się z dwoma niepokojącymi deficytami: niskim poziomem świeżości, nieskrępowania i krytycyzmu w murach szacownych instytucji naukowych i jednocześnie niedostateczną infrastrukturą w rękach tych, którzy poza tymi murami próbują podejmować inicjatywy naukowe? Co zrobić, by nie było wciąż pod górkę, jak po grudzie, w oczy piach?

Happening, fundraising, tradeoffing

Mówi się, że potrzeba matką wynalazków. W jakie innowacyjne idee obrodziła permanentna mizéria finansowa towarzysząca naszym akademickim ambicjom i zamierzeniom? Na giełdzie pomysłów zaradczych znalazło się wykupienie w gazecie dużego ogłoszenia z apelem o "zrzuty dla walczącego Krakowa", zorganizowanie happeningu pod hasłem "młodzi naukowcy sprzedają swoje organy", czy akcja palenia bezdomnych książek na Rynku w Krakowie. Żaden z tych pomysłów nie wszedł do realizacji. Dlaczego? Bardziej z poczucia odpowiedzialności niż z braku determinacji - środowisko naukowe jest bowiem dość konserwatywne, a prawnicy chyba najbardziej. Nie wiem, czy byłby jakikolwiek pozytywny efekt takich działań, a nie chodziło przecież o robienie sztuki dla sztuki.

Fundraising prywatny? Mam różne doświadczenia, również bardzo dobre. Wśród najhojniejszych darczyńców znaleźli się prof. Grzegorz Domański i mec. Rafał Kos, ale pomagali także i mec. Grzegorz Namiońkiewicz i mec. Adam Klimczyk i dr Leszek Allerhand (wnuk Maurycego). Instytutową bibliotekę hojnie wspierało i wspiera Wydawnictwo CH Beck, a kolekcję swoich obrazów przekazała Łucja Radwan. Jestem im za to wdzięczny. Ale nawet najlepsze idee nie sprzedają się same, a kultura filantropii w Polsce jest jeszcze ciągle odległa od dojrzałej. Idea idea, ale bądźmy pragmatyczni - jestem prawnikiem, wiem, ile kosztuje godzina mojej pracy, wiem też, jak czasochłonne są zabiegi o donacje prywatne - "żebractwo" akademickie, jak to niekiedy nazywaliśmy. Czas i energia mają wartość, rachunek jest więc brutalnie-absurdalnie prosty: bardziej od uprawiania fundraisingu oplota mi się pracować w biznesie i zarobione pieniądze przekazywać instytutowi, w którym dzięki temu - ja i kilku moich współpracowników - możemy pracować pro bono. Niemożliwe? Skądże znowu - wystarczy tylko mało spać, pracować w weekendy i nie mieć wakacji. Za dużo? Ależ - przecież jeszcze dwa pokolenia wstecz trzeba było przelewać krew, dziś wystarczy przelew bankowy. Największy koszt? Nawet nie pieniądze. Energia. Czyli nienapisane książki, nieopublikowane artykuły, niewygotoszone referaty. No i te wakacje jedne czy drugie.

Sukces - moja licencja na narzekanie

Czy narzekam? Tylko trochę. Ale niech nikogo nie zmyli ten wydźwięk - to nie jest przecież tekst autopromocyjny, nie miejsce w nim na eksponowanie tego, co się udało pięknie - powody do satysfakcji są wcale liczne, a dorobek niepomijalny. Jeśli pozwalam sobie na narzekania, to z trzech powodów. Po pierwsze, owe nienapisane rozprawy i niebyłe wakacje. Po drugie, świadomość, że wszystko byłoby znacznie łatwiejsze w innym miejscu - choćby w każdym z tych krajów, które znam z czasów moich akademickich peregrynacji. Po trzecie, pozwalam sobie narzekać nie jako ktoś, komu się nie udało - looserzy nie są wiarygodni. Mi się udało, jestem nieźle prosperującym adwokatem, stać mnie było na to, aby dopłacać do Instytutu po kilka a niekiedy i po kilkanaście tysięcy miesięcznie. Tyle że to nie ja powinienem dopłacać do instytutu, ale instytut wynagradzać mnie i innych, którzy na takie wynagrodzenie zasługują. Czas skończyć z polityką pospolitego ruszenia i innych tego typu heroizmów, które dobrze wychodzą głównie w narodowych hagiografiach. Nie sprawdziły się w polityce zagranicznej, nie sprawdzą się też w naukowej.

Przyjmijmy zakład

Nadmierny patos? Już rozluźniam. Przyjmijmy zakład: dajcie mojemu instytutowi pieniądze na trzy lata. Wcale nie jakieś wielkie, powiedzmy - równowartość dwóch zachodnich postdoców. Zmodernizujemy naszą wędkę - za te dwa "postdoki" zatrudnimy "siedmiu wspaniałych" młodych resercherów. Spotkamy się po trzech latach i przeprowadzimy ewaluację międzynarodowych osiągnięć naszego academic venture. Jeśli zawiodę, na kolejne trzy lata zatrudnię się na portierni Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej albo innego darczyńcy. Niniejsza deklaracja może być rozumiana jako przyrzeczenie publiczne w rozumieniu art. 919 § 1 k.c. Podaję nr konta: 20 2490 0005 0000 4500 3138 4174 (proszę o przelewy z dopiskiem "Baumgartner albo portiernia").

Tekst Prof. Żylicza, który zainspirował mnie do napisania tego eseju, kończy się słowami "uważnie wybierajmy tych, których chcemy wspierać, i miejmy odwagę im zaufać". Na koniec więc o zaufaniu i wiarygodności - Amerykanie mawiają: "put your money where your mouth is". Ja swoje położyłem.

**Arkadiusz Radwan, dr nauk prawnych, adwokat, założyciel Instytutu Allerhanda (www.allerhand.pl) i Centrum C-Law.org (www.c-law.org)*

Cały tekst:

http://wyborcza.pl/1,75400,12938281,Baumgartner_albo_portiernia_czyli_coming_out_w_temacie.html#ixzz2GLJWDwQb

„PRZEPIS NA NAUKĘ”

Prof. Jan Marcin Węstawski, kierownik Zakładu Ekologii Morza Instytutu Oceanologii PAN, 2012-12-11, Gazeta Wyborcza (www.wyborcza.pl)

W prestiżowym "Current Biology" ukazał się ostatnio artykuł podpisany przez 95 naukowców, którzy podsumowują naszą dzisiejszą wiedzę o zwierzętach morskich. Aż 30 proc autorów tej ważnej pracy stanowią Amerykanie, udział innych nacji nie przekracza kilku procent.

Dlaczego Europa ze swoją długą tradycją naukową wypadła tak blado?

UE nie lubi facetów w pumpach

Żeby to zrozumieć, musimy cofnąć się do 1995 r. W środowisku biologów powtarzano wtedy z oburzeniem opinię ówczesnej szefowej unijnej komisji nauki i techniki Edith Cresson: "Unia nie będzie finansować zbieraczy znaczków pocztowych". Opinia ta dotyczyła układania priorytetów dla kolejnego programu naukowego UE i umieszczenia w nim hasła "bioróżnorodność". Pani Cresson była zaniepokojona, że konieczność wprowadzenia do priorytetów unijnych badań nad różnorodnością biologiczną (wymuszoną decyzjami na Szczycie Ziemi w Rio de Janeiro) pozwoli finansować zbieraczy motyli i muszelek - co w zdominowanej przez nowoczesne technologie nauce europejskiej wydawało się anachronizmem. Panią komisarz uspokojono, że teraz różnorodnością biologiczną zajmą się genetycy i ekolodzy i nie ma obaw, że facet w pumpach z siatką na motyle dostanie pieniądze z Unii.

W tym samym czasie na wydziałach przyrodniczych wielu uniwersytetów europejskich trwał proces likwidowania tradycyjnego nauczania zoologii i botaniki na rzecz nauki eksperymentalnej i wszelkiego rodzaju technik molekularnych. Ludzie potrafiący poprawnie identyfikować znalezione rośliny i zwierzęta, oraz opisywać nowe gatunki zostali zepchnięci do nielicznych, dużych muzeów i praktycznie ustał nabór młodej kadry do specjalności systematyka (taksonomia).

Ten proces miał solidne uzasadnienie ekonomiczne - studenta w ciągu roku można nauczyć obsługi mniej lub bardziej kosztownej aparatury, tak by w następnych latach zaczął już produkować wyniki naukowe. Taki rodzaj uprawiania nauki wymaga lidera, który będzie wiedział, gdzie należy szukać interesujących zagadnień, potrafiącego interpretować dane. A także sporej grupy młodych, pracujących na kontrakcie ambitnych doktorantów.

Zespołowa praca oparta na ich bezwzględnym wyzysku (bo mniej niż 10 proc. doktorantów ma szansę na stałe zatrudnienie w wybranym zawodzie) zdominowała rynek nauki.

Przyroda to paskudne mikroby

Taksonom stanowi przeciwieństwo efektywnego działania. Nikt nie zostaje specjalistą od systematyki w ciągu roku, dobry

fachowiec ma za sobą zwykle co najmniej 10 lat pracy. Publikuje dużo wolniej niż jego koledzy eksperymentatorzy i nie może opierać się na zespole kontraktowych współpracowników. Za to jego publikacje są długowieczne - zachowują wartość przez dziesiątki lat, podczas gdy w naukach eksperymentalnych często nowy wynik przekreśla poprzednie w ciągu paru miesięcy.

Wydawałoby się, że taka jest kolej rzeczy, pewne dziedziny nauki odchodzą do lamusa, bo skończył się ich obszar badawczy - np. geograficzny opis Ziemi został już dokonany - współcześni geografowie to zwykle ekonomiści, socjologowie albo klimatolodzy.

Decydenci zamykający kursy zoologii i botaniki systematycznej też tak rozumowali - opisaliśmy świat wokół nas, teraz trzeba zrozumieć jak działa.

Sytuacja zmieniła się, kiedy Edward O. Wilson, uznawany powszechnie za jednego z najwybitniejszych żyjących uczonych (a zawodowo taksonom specjalizujący się w mrówkach) wylansował pojęcie różnorodności biologicznej. Hasło jej ratowania zostało błyskawicznie podchwycone przez rządy i opinię publiczną. Utratę bioróżnorodności uznano za jedno z największych zagrożeń współczesności i dlatego na jej ratowanie zaczęły płynąć wielkie pieniądze.

W 2001 r. Unia Europejska podjęła uroczyste tzw. deklarację z Göteborga mówiącą, że do 2010 r. na jej terytorium zostanie zatrzymany spadek różnorodności biologicznej. Jej ochronę wpisano do prawa na całym świecie.

Hasła jednak łatwo się formułuje, szczególnie kiedy nie rozumie się ich znaczenia.

W 2010 r., kiedy podsumowano stan wykonania deklaracji w Unii, okazało się, że nie ma co raportować, bo... nie znamy poziomu różnorodności biologicznej w Europie! Politycy pomylili się podpisując dokument, bo dla nich przyroda to drzewa, ptaki i sarenki w lesie. Wydawało się, że po objęciu programem ochrony przyrody NATURA 2000 kluczowych obszarów w Europie mamy problem z głowy. Tymczasem okazało się że 99 proc. przyrody to paskudne, niewidoczne gołym okiem organizmy kryjące się w glebie, osadach morskich czy we wnętrzach roślin, takie jak nicienie, niesporczaki, miniaturowe skorupiaki i kilkadziesiąt innych grup taksonomicznych, o których istnieniu nikogo już w szkole nie uczył.

Inni mają ziemniaki, my mijemy sól

W tej sprawie, jak zwykle Amerykanie wyprzedzili Europę. I to o całą dekadę. Kiedy zorientowali się, że gubią całą profesję, ich Narodowa Fundacja Nauki opłaciła wieloletni system projektów

wspierających badania taksonomiczne. Teraz, kiedy podliczamy w nauce punkty i cytowania, okazuje się, że większość nowych gatunków odkrywanych na świecie (a znajduje się ich setki - tyle że nie sarenek i ptaków) to dzieło finansowane przez USA.

Europa ma swoją deklarację i brak specjalistów, którzy potrafią poradzić sobie z "największym wyzwaniem XXI w." - czyli spadkiem różnorodności biologicznej. Bez poprawnej identyfikacji gatunku, bez odkrywania nowych, porządkowania istniejącej wiedzy w tym zakresie cała ekologia, biologia ewolucyjna, ochrona przyrody, zarządzanie środowiskiem, nie wspominając o badaniach bioróżnorodności czy biotechnologii tracą podstawę.

Stosunek nauk biologicznych o środowisku do taksonomii jest podobny do relacji między fizyką a matematyką. Fizyka pozwala na testowanie interesujących hipotez, ale bez poprawnej matematyki staje się pustą zabawą. W Europie wszędzie potrzebują dziś ornitologów czy botaników, pytanie

tylko: gdzie przyszli wykonawcy tych zawodów mieliby się nauczyć tak "niedzisiejszych" umiejętności, skoro uczelnie minimalizują kształcenie studentów w zakresie taksonomii?

Na początku lat 80. spotkałem wybitnego amerykańskiego oceanografa Knuta Aagarda, który ze współczuciem słuchał moich narzekań na tragiczną sytuację sprzętową i finansową nauki w Polsce. Na koniec pokiwał głową i powiedział: - Wiesz co, kiedy wszyscy sadzą ziemniaki, poszukaj soli, na pewno znajdziesz kupca. Waszą solą jest taksonomia, u nas nikt już nie potrafi rozpoznawać zwierząt morskich".

Minęło 30 lat i sytuacja się odwróciła.

* Prof. dr hab. Jan Marcin Węstawski jest biologiem morskim, pracuje w Instytucie Oceanologii PAN w Sopocie.

Cały tekst:

http://wyborcza.pl/1,75400,13025995,Przepis_na_polska_nauke.html?as=2#ixzz2GLM8VbOA

„LIST OTWARTY ZNAD GROBU DO MINISTER NAUKI BARBARY KUDRYCKIEJ”

Prof. Adam Płaźnik, Zakład Neurochemii, IPIN, 2012-12-27, Gazeta Wyborcza (www.wyborcza.pl)

Nauka umiera w ciszy laboratoriów, bez gwiazdów związkowców i wuwuzeli kibiców - napisał do nas prof. Adam Płaźnik

Pani Profesor Barbara Kudrycka, Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego Szanowna Pani Minister!

Zbliżający się koniec roku jest dobrą okazją do podsumowania i oceny funkcjonowania nowych zasad finansowania nauki w Polsce. Na początek krótka informacja o mojej osobie. Jestem kierownikiem zakładu w instytucie resortowym podległym ministrowi Artukowiczowi. Chociaż z wykształcenia jestem lekarzem, pracuję od początku mojej kariery naukowej w zakresie badań podstawowych - neurobiologii, niemniej jednak w kontakcie z klinicystami. Nie jestem nieudacznikiem naukowym, nie będę przytaczał swoich osiągnięć naukowych: wystarczy wpisać moje nazwisko w przeglądarkę Web of Knowledge/Science. W ciągu ostatniego roku, zespoły kierowane przeze mnie zdobyły 4 granty finansowane przez NCN. Wykształciłem ponad 15 doktorantów.

Można by powiedzieć, że na tle tzw. średniej, jestem dzieckiem szczęścia. Dlaczego więc zdecydowałem się poświęcić trochę czasu aby napisać do Pani Minister, zamiast wziąć się za jakąś sensowną robotę? Otóż główną przyczyną jest postępująca desperacja i ogólne zniechęcenie mojego środowiska do walki o

utrzymanie się na powierzchni. Przyczyną jest także rozczarowanie wobec niespełnienia deklaracji Pani Minister składanych w momencie obejmowania stanowiska i wprowadzania reformy finansowania nauki (miało być lepiej i sensowniej).

Sytuacja w nauce przypomina obecny stan w służbie zdrowia. Tam NFZ zawiera kontrakty a Ministerstwo Zdrowia umywa ręce od odpowiedzialności za finansowanie zadań zdrowotnych. Tu,

NCN i NCBiR rozdają środki na drodze konkursu (tak jak NFZ), a Ministerstwo Nauki umywa ręce od odpowiedzialności za stan nauki polskiej. Niby sytuacja jest jasna, są klarowne kryteria, tzn. lepszy (tańszy) kontrahent wygrywa i przeżywa a słabszy (naukowo) odpada. Wedle tego zamysłu strumień pieniędzy na naukę jest kierowany w coraz większym stopniu poprzez system konkursowy (grantowy), a w coraz mniejszym, poprzez dotację na działalność statutową uczelni i instytutów. Jest to pomysł logiczny i metodologicznie poprawny. Dlaczego więc nie działa w Polsce, tak jak w USA lub Anglii?

Po pierwsze Polska to nie USA z potężnym zapleczem prywatnego przemysłu inwestującego w naukę, z potężną liczbą bogatych sponsorów i darczyńców. Z rozwiniętą świadomością państwa i obywateli o potrzebie inwestowania w innowacyjne technologie i dające im impet badania podstawowe. Nakłady państwa na naukę są w Polsce żenująco niskie (około 0,45 - 0,65 proc., zależnie jak się liczy i ten procent nie zmienia się od lat), i są kilkakrotnie (w procentach PKB) niższe niż w krajach Unii Europejskiej (w Izraelu przeznaczają się ponad 3 proc. PKB na naukę). Nawiasem mówiąc, MON w Polsce dostaje na swoje zabawki i gry wojenny (czy coś zagraża Polsce?), prawie 2 proc. PKB.

Aby system grantowy zaczął działać (tzn. zastępować dotację na działalność statutową), muszą być przekazywane adekwatne środki finansowe oraz cały proces powinien być rozłożony na wiele lat (do 10, w mojej opinii). Dlaczego? Dlatego, że są to zmiany wymagające podejścia ewolucyjnego. Nowy system emerytalny w Polsce będzie wprowadzany przez kilkadziesiąt lat! Tymczasem w nauce, proces reformy jest rozłożony na zaledwie kilka lat.

Tak zwany "success rate - "odsetek powodzeń" w pozyskiwaniu grantów naukowych w NCN (zespoły NZ4 i 7, konkurs SONATA), wynosi poniżej 20 proc. (ostatni konkurs - 17 proc.). To oznacza, że tylko co 5-6 wniosek grantowy zdobywa finansowanie. Jakże to ma znaczenie? Takie, że przygotowywane bardzo dużym kosztem wnioski grantowe, w swojej większości, nie mają szansy na finansowanie! Pomimo dobrej oceny merytorycznej (średni poziom wniosków w mojej specjalności, jest bardzo wysoki - mam w tej dziedzinie bardzo duże doświadczenie, byłem i jestem recenzentem KBN i NCN od wielu lat, a dopiero ostatnio świadomie zrezygnowałem z bycia recenzentem, po to aby zaprotestować i nie przyczynić się do niszczenia polskiej nauki).

Moim zdaniem, wprowadzając system grantów naukowych, należało rozłożyć reformę na wiele lat (dać szansę na naukę nowych zasad), oraz zacząć od success rate 90 proc., a potem co roku podwyższać kryteria, poprzez zmniejszanie odsetku powodzeń, np. o 10 proc., do 50-60 proc., finalnie. Poziom kategorii naukowej powinien być ustalany przez Komitet Ewaluacji Jednostek Naukowych, a nie przez ALGORYTM - patrz niżej). Wielkość uzyskanych środków w ramach konkursów NCN jest niewystarczająca dla finansowania badań naukowych oraz etatów. Na przykład, średnia wysokość przyznanego finansowania w konkursie KONKURS SONATA 2 (rozstrzygnięcie: maj 2012 r.), wyniosła (NZ4 i NZ7) od 400 do 600 tys. zł. Niby dużo, ale są to środki na 3-4 lata. Na pewno nie wystarczą do otrzymania 6-8 osobowego zespołu (to jest minimum). Takie środki wystarczą (około 150 tys. zł rocznie przez 3-4 lata), tylko na odczynniki i aparaturę naukową. Realne środki pozwalające na utrzymanie infrastruktury i zatrudnienie, powinny być dwa do trzech razy większe.

Przez wiele lat nauczono nas że zbyt wielkie nakłady planowane na wynagrodzenia mogą być podstawą dyskwalifikacji wniosku (funkcjonuje parametr oceny zasadności planu finansowego wniosku i wiem z doświadczenia, że fundusz wynagrodzeń wyższy niż 20 proc. był krytykowany jako nadmierny). Z drugiej strony, zwiększone finansowanie funduszu płać spowoduje większe koszty całkowite wniosku i tym samym zmniejszy pulę pieniędzy do podziału. Tym samym zmniejszy się odsetek powodzeń w pozyskiwaniu finansowania wniosków grantowych (suma 400 mln zł na NCN przeznaczona na badania podstawowe w 2012 roku, jest dodatkowo sukcesywnie pomniejszana na różne projekty celowe wymyślane dla doraźnych potrzeb tzw. polityki naukowej MNiSzW i nie ma szans na zwiększenie tej kwoty). Reasumując: przeniesiono w mechaniczny sposób zachodnie wzory, bez odniesienia się do poziomu ekonomicznego i cywilizacyjnego naszego kraju, oraz zastosowano złe rozwiązania szczegółowe!

Zaoszczędzone na dotacjach statutowych pieniądze nie są kierowane w całości do finansowania nauki w ramach NCN. Są przeznaczane także na coraz liczniejsze tzw. projekty celowe, które, mam wrażenie, odzwierciedlają głównie siłę przebiecia różnych dobrze zorganizowanych grup interesu, ewentualnie mających tzw. dojścia, niż rzeczywiste potrzeby polskiej nauki. Dodatkowo, zaoszczędzone środki są kierowane dla realizacji

różnych projektów związanych z wojskowością. Projekty takie mają mało wspólnego z prawdziwą nauką, głównie służą aplikacji różnych technologii wojskowych. No i są priorytetowe.

A teraz komentarz do nowych propozycji dotyczący zmian w ocenie jednostek naukowych (a więc ich finansowaniu). Mój Instytut, zakwalifikowany w ostatnio przeprowadzonej ocenie okresowej do kategorii A (5 miejsce na 18 w grupie jednostek jednorodnych), dostaje od 2010 r. znacząco niższe, corocznie mniejsze, dotacje na działalność statutową. Z niejasnych powodów zaniechano procedurę wyłaniania jednostek A. Wysyłane do Ministerstw Nauki pisma w tej sprawie pozostają bez odpowiedzi!

Wedle najnowszych propozycji, Komitet Ewaluacji Jednostek Naukowych, zostanie zastąpiony przez ALGORYTM. Minister nie będzie musiał zasięgać opinii jakiegokolwiek gremium specjalistów, a jedynie, przez kliknięcie w programie komputerowym, uzyska wskaźnik, który będzie podstawą decyzji w sprawie finansowania jednostek naukowych. Spełni się urzędnicze marzenie: nie ludzie, ale program komputerowy, będzie decydował! (To nie ja, ale algorytm jest winny!).

Takie rozwiązanie nie istnieje w żadnym kraju na świecie. Jest parodią zarządzania nauką. W obecnej sytuacji, środowisko naukowe nie jest, niestety, bez winy. W niezrozumiały dla mnie sposób walczyło o relikty przeszłości, w rodzaju habilitacji (patrz wypowiedzi profesora Karola Modzelewskiego), czy belwederskich profesur, zamiast skoncentrować się na kwestiach finansowania nauki (dlatego, po części, mamy takie efekty).

Utrzymywanie habilitacji jest żenującym przeżytkiem, XIX-wiecznym anachronizmem (podobnie belwederskie profesury). Upierając się przy tym, ośmieszamy się w oczach światowej opinii. Chociaż, ostatnio, wysyp tzw. profesur uczelnianych (np. dr hab. prof. UW) skutecznie dewaluuje tytuł naukowy.

Podsumowując. Stan nauki w Polsce przypomina stan służby zdrowia, zadłużenie, brak perspektyw, obarczanie winą nieudolny zarząd (dyrekcję), a nie błędne rozwiązania systemowe. Nauka umiera w ciszy laboratoriów, bez gwizdów związkowców i wuwuzeli kibiców. W obecnej sytuacji tylko niektóre instytuty PAN są względnie prosperujące. Oszczędzone na subwencji statutowej dla uczelni i instytutów pieniądze są po części kierowane do ośrodków, które zdobyły status jednostek KNOW. Z oczywistych względów, instytuty PAN ukierunkowane na uprawianie czystej nauki, bez obciążenia dydaktyką i usługami medycznymi, wygrywają tę konkurencję. Tak więc, już niedługo, jedynymi instytucjami uprawiającymi naukę w Polsce będą nieliczne, pojedyncze zakłady, którym udało się uzyskać środki unijne (zwykle są to podwykonawcy jakiegoś zachodnio-europejskiego koordynatora) oraz zakurzone laboratoria z pasjonatami i abnegatami, negującymi potrzeby materialne.

Nauka na uczelniach i instytutach resortowych przestanie

istnieć. Naturalną konsekwencją tego stanu będzie dalsze obniżanie poziomu kształcenia i wykształcenia absolwentów polskich uczelni (jakość dydaktyki jest związana wprost z poziomem naukowym, naukowiec musi śledzić najbardziej aktualne dane w swojej specjalności i w naturalny sposób jest źródłem najbardziej aktualnej wiedzy dla studentów).

Szczególnie trudna jest sytuacja instytutów resortowych (JBR), zwłaszcza tych które nie mają bliskich związków z przemysłem finansującym jego badania (np. resortu zdrowia). Tak jest z moim instytutem, który z jednej strony ma corocznie zmniejszającą dotację na działalność naukową (bez informacji o przyczynach i kryteriach), z drugiej, ma do wykonania kontrakt na usługi zdrowotne z NFZ, ze skandalicznie nisko wycenioną psychiatrią. W porównaniu do uczelni medycznych, nie mamy także dotacji dydaktycznej, pozwalającej na finansowanie pensum dydaktycznego (etatów), w uniwersytetach medycznych.

Co można by zrobić teraz, a co w dalszej kolejności, aby zapobiec nadciągającej katastrofie? Trudno o proste i skuteczne recepty. Na pewno, należałoby przejściowo zwiększyć dotację na działalność statutową, wedle kryteriów opracowanych przez Komitet Ewaluacji Jednostek Naukowych (tzn. obluźować zaciskającą się na szyi pętlę deficytu). Następnie, należy zdefiniować długość i kryteria okresu przejściowego, związanego ze zmniejszaniem dotacji statutowych (np. o 10 proc. rocznie, do poziomu 60-70 proc. dotacji początkowej, z przeprowadzeniem po okresie 2-3 lat etapowej oceny skuteczności działania nowych zasad: tzn. audytu czy zmniejszanie dotacji zwiększyło w zadawalający sposób stopień pozyskiwania pieniędzy z grantów naukowych, czy przełożyło się na większą liczbę najlepszych publikacji naukowych?

Należałoby wprowadzić bezwzględną zasadę przekazywania wszystkich "oszczędzonych" pieniędzy z dotacji statutowej, na cele grantowe w NCN. Jedynym kryterium powinna być jakość naukowa projektu, a nie fakt przynależenia do jakichkolwiek konsorcjów naukowych, np. typu KNOW.

Niezrozumiałe jest także wyróżnianie tzw. młodych naukowców, jakiś strategicznych dziedzin nauki czy gospodarki, lub też powracających z zagranicy naukowców. Niech każdy ma takie same szanse, a decydować powinna (zwłaszcza w

badaniach podstawowych) wyłącznie jakość badań (projektu) i ich innowacyjność.

Należy także docelowo dążyć do zwiększania odsetka powodzeń w konkursach, do 30-40 proc. (oczywiście, nie rezygnując z jakości). Granty naukowe, aby przejęty finansowanie etatów, a nie tylko kosztów badań, powinny być znacznie wyższe (wystarczy policzyć: 4 osoby po 3,5 tys. zł pensji na "rękę" to 5 tyś zł brutto razy 12, co daje sumę 250 tys. zł rocznie, a więc znacznie więcej niż roczna rata przeciętnego, 3-4 letniego grantu NCN). W takiej sytuacji nie trzeba by było wyodrębnić oddzielnej puli pieniędzy dla "młodych", na stworzenie zespołu badawczego, dla bardziej potrzebnych w gospodarce czy powracających z zagranicy. No i, naturalnie, należałoby zintensyfikować starania, aby zwiększyć nakłady na naukę, w proporcji do PKB.

Minister nie rozwiąże przy pomocy algorytmu problemu finansowania polskiej nauki. Natomiast powinien w aktywny i transparentny dla środowiska naukowego sposób szukać alternatywnych rozwiązań.

Czy jest szansa na zmianę obecnej polityki finansowania nauki, prowadzonej wedle niejasnych kryteriów? Czy przeprowadzono pogłębioną etapową analizę skutków wprowadzonej przez 2 lata reformy finansowania nauki? Co nie działa w należyty sposób, a co uzyskano w zamian? Chciałbym bardzo wierzyć, że pani Minister, zarządzająca od 5 lat polską nauką, jest zdolna do pogłębionej refleksji i zmiany szkodliwych, nie sprawdzających się, rozwiązań.

Szanowna Pani Minister! Prawdę mówiąc, jestem zażenowany opisywaniem rzeczy oczywistych. Być może z wysokości swojego stanowiska widzi Pani więcej i inaczej. Być może mylę się w swoich przypuszczeniach, że zostawi Pani po sobie pustynię z oazami nielicznych instytucji naukowych finansowanych z funduszy europejskich, i że zostanie Pani przez historię uznana za likwidatora dużej części polskiej nauki.

Proszę więc o wskazanie, gdzie się mylę.

Z uszanowaniem i nadzieją na odpowiedź, Pani podwładny,

Catý tekst:

http://wyborcza.pl/1,75400,13107320,List_otwarty_znad_grobu_do_minister_nauki_Barbary.html#ixzz2GLNvz300